

## Jan Kasper

### **Boso**

Gabrysi i Darkowi Kozdębom,  
którym zawdzięczam ideę tego wiersza

Kły pokrzyw gotowe były  
dawać się we znaki. Nad kępami sitowia  
pikowały ważki. Między kamieniami  
pomrukiwał strumyk. Przychodził tu,

odkąd czuł, że musi. Zdejmował buty,  
podwijał nogawki. Boso przeskakiwał,  
do upadłego, z jednego brzegu strumyka  
na drugi. Angażował każdy miesiąc,

każdą tkankę duszy. Ruchy jego  
stawały się zdecydowane, pewne.  
W rysach twarzy odciskał się

stan uniesienia. Wiedział, co powiedzieć,  
gdyby spytał go ktoś, co robi?  
– Modłę się.

**Akcja**

Trąbko Dona Cherry'ego,  
co wyczyniasz? Dzięki tobie,  
kolejny raz, słyszę eksplozję  
kamieni w górach, która  
niespodziewanie przemienia się  
w aleatoryczne szmery  
ula zapchanego pszczołami.  
Podrywa mnie twoja energia,  
rozgrzesza mnie twój liryzm.  
Los mi pobłażał; zdołałem

uniknąć wyborów, jakim mógłbym  
nie sprostać. Osiągnąłem  
wiek, którego rolę scedzanie  
doświadczeń, odbieranie wnuczki  
ze szkoły. Nieziemska zjawo,  
z twojego dęcia powstaje  
nowa przestrzeń. Katedra – cała  
z przezroczystej cegły. Toną w niej  
moje kroki; wciska się historia  
w matryce dni. Król Brytyjczyków

Jerzy VI zmarł, nim się urodziłem.  
Wernisaże kaczeńców nad rzeką – triumfowały,  
ale przed nikim. Pięć żywiołów czakry  
w tym samym cyrku chodziło po linie.  
Szukałem sensu, nie wiedząc,  
że poświęcam się sortowaniu śmieci.  
Aż otworzyła się brama, sople aniołów  
sterczały z nieba. Odtąd święto się powtarza.  
Ezoteryczna, ultradźwiękowa! Co wyczyniasz,  
trąbko Dona Cherry'ego?

### **Blask**

W jednej religii, w kilku czasach  
naraz. Wśród nikłych kształtów,  
stanowiących odbicie minionej epoki.  
Jak inkrustacje motyli, znaczące,  
nie dłużej niż sezon, kobierzec łąki.  
Parę wątków na podporządku dla wścibskich  
interlokutorów. Młodość poświęcona  
światowej katastrofie, sny trafiające  
do tajnych archiwów. Wiece gumowych butów  
w błocie entuzjastycznej transformacji.  
Język, gdy trzeba, zastępujący  
odsświętny styl protoplastów. Na koniec  
zajęty przez nich margines historii.  
Nad łóżkiem małżeńskim Pan Jezus  
z gorejącym sercem i Matka Boska.  
Blask, przy którym obcinali  
paznokcie i wstępowali na schody.  
A prawdziwe ich wysiłki i wyrzeczenia  
dawno wyprowadzone w kondukcje.

### **Morfina**

Kilka razy w ciągu nocy psy  
haratały jej ciało. Rozżarzony  
pręt ktoś dociskał do piersi.  
Wersji bólu tyle, ile ziarna w spichrzu.

Nowa porcja morfiny oszołamia.  
Leży w trawie. Obraca  
w palcach piórko sójki.

**Obrachunki funeralne**

Zmarłych nie ubywa, wierzysz? Nie tylko  
zaludniają każdy wolny skrawek naszej  
pamięci, czepiają się klamek w drzwiach  
czy pod postacią migotliwych ogników  
dekorują ślepe torń kościoła. Wystarczy,  
że wyjdę na spacer z psem – zaraz przy mnie  
są, pęka powietrze od ich kroków, przenika  
mnie na wylot rentgenowski wzrok. Odeszli,  
lecz wracają. Podróźni metafizycznej aglomeracji,  
nadaremnie przywiązani do ziemskiego porządku.

Kanon tradycji wszędzie pozostaje ten sam.  
Pocałunek opatruje  
lodowate czoło.  
Cmentarz strzeże granic.

**O potrzebie transformacji**

Grobowiec w kształcie piramidy,  
upamiętniający rotmistrza wojsk  
napoleońskich Franciszka Ł., powoli

traci kamienny ciężar, zaczyna  
migotać glazurą światła. Bez trudu  
odrywa się od podłoża, wzlatuje.

Zdarzenie hipotetyczne, podyktowane  
potrzebą transformacji. Inne zdarzenia  
tego dnia będzie miażdżyć nuda i przewidywalność.

We wsi dla odmiany płoną głowy  
z dyni, plądruje podwórka więzienna grypsera,  
karasie w stawku trzymają się dna.

## Niedotykalni

I

Zwoje świetlistego materiału  
wisały nad okolicą. Słońce  
chlupotało w wiadrze wyciąganym  
raz po raz ze studni. Słychać było  
drobne dzwonki dojrzewającej za domem  
pszenicy. Kilkuletni chłopiec, z włosami  
przylizanymi brylantyną, starannie ubrany,  
siedział wśród rzeczy załadowanych na furmankę.  
Konieczność wyjazdu ekscytowała go, drażniła  
nieprzewidziana ślamazarność bliskich. Ojciec  
i dziadek celebrowali sztachanie się papierosem.  
Matka kolejny raz żegnała się ze swoim  
ogródkiem. Babcia nie potrafiła  
niczego innego – przesypywała piasek modlitwy.

Po jakimś czasie mieli spory kawał drogi za sobą.  
Miejsce pozostawionego nie ma – natychmiast  
zastępowało nowe jest. Zdziwiony tym następstwem  
chłopiec wyjął z kieszeni spodni jabłko. Pąsowiato  
niczym policzki Mietki, jego zdradzonej przyjaciółki.  
Gryzł je powoli, myliły mu się smaki i zapachy.

**II**

Bóg miał odcięty język. Był wrogą radiostacją,  
której nasłuchiwali intensywnie przed snem.  
Śmierć, kura na grzędzie, kaprawym okiem  
przyglądała się ich sfatygowanym ruchom.

Tasowały się rządy i ekspedycje pór roku.  
Kartofle dla świń parowały się w kotle.

Przy niejednym stole żmudne  
wycinanki insynuacji, miejsca

po kimś – puste nieodwołalnie.

**III**

Na stromiznach dachów (jako że nie zdołali  
w porę uciec) – rybacy ludzi.  
Uwięziony w stajni koń trzymał desperacko  
łeb ponad całunem wody.

Co zapisane, doczytane do końca.

Płeć niestrudzenie otwierała się – zablizniała.

**IV**

Dwie topole na pobliskim wzgórku okazywały im  
majestatyczny dystans; interwałowe szelesty,  
dygotania i odbłaski składały się na kosmos,  
który przeznaczony był wyłącznie dla nich dwóch.